TYGODNIK LWOWSKI



Przedpłata w miejscu i dla abonentów „Dziennika Lwow."		Nr. 10.	Dla prenumerujących z osobną przesyłką pocztową	
rocznie	6 złr. — ct.	15. Grudnia 1867.	rocznie	7 złr. — ct.
półrocznie	3 „ — „		półrocznie	3 „ 50 „
ćwierćrocznie	1 „ 50 „		ćwierćrocznie	1 „ 80 „
Zeszyt miesięczny	— „ 60 „		W w. ks. Poznańskiem ćwierćrocz.	1 tal. 15 sgr.
Pojedynczy numer	— „ 20 „		We Francji ćwierćrocznie	6 franków.

Michał Czajkowski.

(Sadyk Pasza).



Komuż nie są znane owe pełne patrjotycznego zapału, a niegdyś surowo zakazane powieści: *Wernyhora*, *Wieszcz Ukrainy Kirdżali*, *Stefan Czarnecki*, *Powieści kozackie* i wiele im podobnych.

Imię autora tych powieści, bywało przez młodzież ze czcią wymawiane, budził on bowiem w nich często uspionego ducha, zagrzewał serca do wojennych czynów i rozjaśniał zamglone umysły. Czytywała więc młodzież na wyścigi te jego powieści, czytywała je tajemnie, a gdy brakło dostatecznej liczby egzemplarzy, to je przepisywano, byle czytanie nie ustawało. — Była to bowiem smutnej pamięci epoka w Galicji, gdzie rządem była policja, która za zasadę przyjęła, tłumić ducha w młodzieży, zakazując czytanie wszelkich książek polskich, z zagranicy pochodzących. Lecz duch im silniej uciskany, tem silniejszy stawiał opór, więc młodzież tem chciwiej czytywała zakazane książki. Ówczesna literatura perjodyczna ograniczała się w kraju pięć miljonów mieszkańców liczącym, na jednem bezbarwnem piśmie „*Rozmaitości*," które chciwą czytania publiczność, karmiły tłómaczeniem powieści niemieckich i francuzkich, nie mającemi żadnego dla kraju interesu; a więc nie udzielające żadnej karmy dla spragnionego ducha. Wtedy to właśnie powieści Czajkowskiego z zagranicy przemycane, jakby manna dla zgłodniałych, łakomo były czytywane i przyznać należy, że żaden z polskich powieściopisarzy nie doścignął go oryginalnością stylu, jemu tylko właściwą; żywy polot myśli, wszędzie owa rącza dusza kozacza, były to cechy, które go czyniły trudnym do naśladowania. Czajkowski choćby z pola literackiego nie był przeszedł na polityczne, byłby w sercach ziomków niezatarte zostawił ślady swego imienia.

Życie jego, o ile w początkach było ciche i pojedyncze, o tyle później burzliwe i przygodami wojennemi przeplatane.

Michał Czajka Czajkowski, herbu Jastrzębiec, z rodziny Ruskiej, od dawnych czasów zamieszkałej na Ukrainie, urodził się we wsi Halczyńcu, blisko Berdyczowa, roku 1812. września 29. — Z ojca Stanisława Czajkowskiego, posła województwa kijowskiego, na sejm konstytucyjny 3. Maja 1791 — i z matki Petroneli Głębockiej, prawnuczki hetmana kozackiego Brzuchowieckiego. — Nauki swoje odbywał najprzód w Odessie, w collége Richelieu; pod przewodnictwem p. Volsey, Anglika, z którem później przybył do Berdyczowa, gdzie tenże sam pan Volsey założył szkołę, w której byli profesorami pp. Marynowicz, Bulak Artymowski, dwaj bracia Antonowicze, Padura i wszyscy ci, którzy później w Charkowie pisali o kozaczyźnie, o śpiewach Ukrainy i jej poezji. Zakład naukowy pana Volsey w Berdyczowie miał w swojem łonie do 300 młodych ludzi ze znaczniejszych rodzin polskich z Ukrainy, z Donu, a nawet wielu Rosjan. Przy naukach odbywały się musztry i służba wojskowa. Cały ten zakład był prowadzony po wojskowemu. Tadeusz Czacki oglądając go, nadał mu prawa i przywileje szkoły wyższej, gubernialnej. Po śmierci p. Volsey, udał się M. Czajkowski do liceum księży Pijarów w Międzyrzeczu Koreckiem. Po ukończeniu tam nauk, poje-

chał na uniwersytet do Warszawy, ale tam zostawał tylko kilka miesięcy, choroba i śmierć matki, zmusiły go do powrotu do domu w 1828 roku. Po śmierci matki, której testament uwolnił go od opieki i dał zarząd majątkiem, zajął się gospodarstwem.

Matka M. Czajkowskiego była kobietą wzniosłej duszy i serca, która wlała w syna uczucie powinności i poświęcenia się dla obowiązku.

W r. 1830 został obranym jednomyślnie marszałkiem powiatu żytomirskiego, ale dla niepełnoletności, nie mógł zająć tej posady i odstąpił ją swemu wujowi Janowi Głębockiemu.

W r. 1831 wszedł do powstania, będącego pod przewodnictwem Karola Różyckiego, szwagra swego. Ranny był pod Tyszycą i pod Uchaniami. Był we wszystkich bitwach, jakie powstańcy odbywali, którzy przeformowani byli na pułk jazdy wołyńskiej; M. Czajkowski był w tym pułku porucznikiem, ozdobiony krzyżem złotym wojskowym za bitwę pod Iłżą. Przeszedł z końcem wojny do Galicji, a ztamtąd udał się do Francji. — Mieszkał najprzód w Bourges, później w Fontainebleau, a w r. 1836 przyjechał do Paryża. W Paryżu pisywał do gazet i *reveues* francuzkich i napisał 18 tomów powieści. Pisywał także do dzienników poznańskich.

W r. 1839 pojechał do Rzymu, gdzie bawił rok cały, wróciwszy, udał się do Niemiec i Włoch, a ztamtąd na Wschód, gdzie był wysłanym przez księcia Adama Czartoryskiego, dla niesienia pomocy Polakom, tułającym się w państwie Ottomańskiem. Na brzegu Anatolskim, o 3 mile od Bosforu, założył osadę polską Adampol, potem, gdy mu Francja odebrała swą protekcję, został muzułmaninem, pod imieniem: Mehmed Sadyka.

Tu nastaje druga epoka życia Czajkowskiego; wszedłszy na arenę polityczną odegrał on taką prawie rolę, jaką w dziejach legionów polskich odegrali Dąbrowski i Kniaziewicz, a to przez formację pułków kozackich, mówiąc o Czajkowskim, wypada nam zatem, wspomnieć nieco o kozakach w Turcji osiadłych, którzy główny kontyngens tych pułków stanowią, a których organizatorem był Czajkowski, i dlatego to żywot jego jest spleciony z Kozaczyzną.

Trzy są plemiona kozaków osiadłych w Turcji: Nekrasowcy, Dobrudzcy i Lipowanie.

Kozacy Nekrasowcy *) pochodzą z nad Donu. Prześladowania religijne, jakich się dopuszczał na nich rząd moskiewski za panowania Katarzyny I. zniewolił ich po długiej walce nad Wołgą z moskiewskiemi wojskami, wyjść z ojczyzny i przyjąć służbę najprzód u Hanów tatarskich, a następnie u Sułtana tureckiego.

Osiedleni nad Dunajem wiernie i sumiennie służyli Sułtanowi aż do przejścia Zaporożców na prawy brzeg Dunaju; wtenczas zaczęły się spory i bójki między niemi. Nekrasowcy wynieśli się, nad brzegi morza Marmora przy ujściu rzeki Marycy do jeziora Syraldza.

Główną zasadą tego rycerskiego społeczeństwa jest wspólność pracy i pożytku, i nie posiadanie żadnej własności ziemskiej.

Nakrasowcom nie wolno się żenić, tylko z kobietami swego rodu i wyznania. Zakonnicy niemszalni, zwani Inochami, trudnią się uczeniem dzieci, i nie ma Nekrasowca, którýby nie umiał czytać, pisać i rachunków, nie znał dobrze swego wyznania i historji swego wojska. Tak dalece są podejrzliwi względem Moskwy, że nie chcą mieć u siebie popów swojej wiary, obawiając się, aby nie stali się ajentami i szpiegami Moskwy.

Na śluby małżeńskie lub na chrzciny, sprowadzają pierwszego lepszego popa greckiego, dobrze płacą, ale wymagają, aby z nikim nie mówił. Przyjechawszy do wsi dają mu straż, dwóch kozaków z dobytemi pałaszami, którzy mu wszędzie towarzyszą, a potem odwożą zkąd przywieźli. Jeśli są zmuszeni dać mu jeść i pić, to tłuką potem wszystkie naczynia.

*) Nazwa ta pochodzi od ich hetmana Ihnata Burjana, przez Moskali nazwanego Nekrasa (niepiękny) za to, że powiódł kozaków w służbę Hanów tatarskich, którzy mu przeznaczyli na rezydencję miasto Anapa w Kubanie. Zobowiązał on się mieć ciągle na służbie wojskowej Hanów, 12.500 kozaków. Zaprowadził między wychodźcami organizację wojskową. Ztąd wojsko zwało się: kozacy Nekrasowscy. Organizacja, prawa i ustawy, jakie nadał, a nawet buława w srebro okuta i kij, którym kazał bić przestępnych i kajdany, w które kazał okuwać winowajców, przechowują do dziś dnia Nekrasowcy. Nekrasa w bardzo podeszłym wieku, bo w 97 swego życia, zginął pod Anapą, broniąc tego miasta, szturmowanego przez Moskali. Po wzięciu Anapy, kozacy przesiedlili się do Turcji.

Nie pijają herbaty, jedynie dla tego, że ją pijała carowa Katarzyna i piją Moskale. W cerkwi żegnają się, biją pokłony, śpiewają psalmy, ale nie ma ani mszy ani nauki religijnej.

Starszyzna pod przewodnictwem Atamana stanowi sąd; za trzy przestępstwa naznaczona jest kara śmierci. Za zdradę wojska, zbiegostwo z szeregów, kara śmierci od kuli lub pałasza.

Za uwiedzenie cudzej żony albo dziewicy nekrasowskiej, winowajca skazany jest na uwiązanie do słupa na placu publicznym i ćwiczenie rózgami przez całe wojsko, dopóki śmierć nie nastąpi. Jeśli zaś kobieta dobrowolną była spólniczką winy, natenczas i ją taka sama spotyka kara.

Roku 1843 bej turecki, sąsiad osady kozackiej, zelżył na czci kobietę nekrasowską zdybaną w polu; przybiegła ona do wsi, wołając o pomstę i sprawiedliwość. Ataman Tychon Osipowicz wsiadł na koń, wziął ze sobą 40 kozaków, udał się do beja Turka, i w jego własnym czyfliku rozstrzelał go. Żona beja udała się do Mudyra, sprawa wytoczyła się przed Paszę. Ataman z 40 kozakami nie czekając zawezwania ani przybycia urzędnika, udał się wprost do Paszy i oświadczył mu: ten bej postąpił sobie nie jak człowiek ale jak św.... i myśmy go jak szkodliwe zwierzę rozstrzelali. Wszyscy jak tu nas widzisz zatopili swe kule w ciele jego; sami się oddajemy, niech Sułtan robi z nami co zechce. Pasza chciał utargować, by zapłacili żonie zmarłego za krew — nie chcieli, mówiąc, że jeśli biedna to damy jej jałmużnę, gdy poprosi, ale nie zapłacimy, bo byśmy się tem samem do winy przyznali. Pasza odwołał się do Stambułu, lecz nakazano, aby sprawę tę stłumić.

Nekrasowcy są w wielkiem poważaniu u rządu i u ludu; nie ma żołnierza w tureckim wojsku, nie ma Paszy, którýby sercem i szacunkiem nie witał Nekrasowców. Jestto piękna i zasłużona nagroda, bo społeczeństwo wychodźców, które na obcej ziemi przez dwa wieki umiało przechować w sobie narodowość, jednolitość, zgodę i cześć, które przez dwa wieki nie wyciągnęło ręki po jałmużnę, ani żebrało u rządów o pomoc w imię ludzkości i polityki, lecz krwią i pracą istnienie swe sobie zapewniło, a nie mogąc bronić ziemi ojczystej przed uciskiem i niewolą obcego jarzma, opuściło ją, ale zachowało narodowość, wiarę i cześć, społeczeństwo co to wszystko przechowało, musi być złożone z ludzi serca i ducha i może być potęgą.

(C. d. n.)

Urywek z czyjegoś pamiętnika

znaleziony przez

T. T. J(eża).

(Ciąg dalszy).

III.

— W czwał!... co koń wyskoczy!...

Hryhor splunął i chrząknął. Dwukrotne smagnięcie batem na grzbiety koni, które bata nie potrzebowały. Kopnęły się więc z miejsca wichrem. Najtyczanka nie toczyła się już, ale leciała za niemi, Było mi dobrze. Pęd sprawiał na mnie efekt powietrznej jazdy, której się domagał nastrój mego ducha. Zdawało się mi, że płynę — że wyciągam się z ptakami i wiatrami ku karczemce, którą graf P. pobudować kazał w polu, na granicy gruntów sąsiedniego majątku, w celu zrujnowania sąsiada na dochodach z propinacji. Karczemkę tę włościanie zwali d e s z e w a, od tego, że wódka w niej była tańszą, aniżeli w całej okolicy. D e s z e w a też znaną była szeroko. Do niej to dążyłem z kartką w garści i z nadzieją w sercu znalezienia zapałki, krzesiwa i iskry w popiele, słowem jakiegoś przedmiotu, do zaniecenia płomyka w celu odczytania pisma, którego wprawdzie nie miałem za nieodgadnioną zagadkę, za odczytanie jednakże którego dałbym był w tej chwili pół królestwa, gdybym się był na tronie urodził.

Można więc sobie wyobrazić, jakiem zadowoleniem przejmował mnie pęd, który moją osobę do Deszewej zbliżał.

Można sobie także wyobrazić, jakim ciosem było dla mnie nagłe zatrzymanie się pędu.

W jednej, jak błyskawica krótkiej chwili, wywróciłem w powietrzu koziołka i znalazłem się plackiem na ziemi. Jakaś gwałtowna a nadzwyczajna siła wysadziła mnie z siedzenia i cisnęła w tył na kilkanaście kroków. W pierwszej chwili nie czułem bólu, tylko ogłuszenie i obezwładnienie. Leżałem twarzą na dół, w gębie miałem pełno ziemi, w oczach pełno kurzu — nic nie słyszałem, nic nie widziałem — i zacząłem odzyskiwać zmysły dopiero, gdy stęknąłem:

— Eh...

Zabolało mnie razem i raptem w krzyżach, w ramionach, pod kolanami i w głowie. Więc zapytałem sam siebie:

— Co to jest?... gdzie jestem?...

Lecz nie miałem siły głośno wyrazy te wymienić. Tylko powtórnie, z większą jak poprzednio energją, stęknąłem. Tym razem stęknięcie moje nie pozostało bez odpowiedzi. Usłyszałem wtór przeciągły: Eeeeh... oh... oj...

Poczem nastąpiło łajanie w djabła i matkę:

— Sto czortiw joho mami...

Poznałem głos Hryhora.

— A de wy, pane?...

I zawiązała się pomiędzy nami rozmowa, z razu mono-sylabami, następnie frazesami. Oto co się stało. Rozpędzona całym czwałem koni bryczka najechała dyszlem na pień zrąbanego na wysokość człowieka drzewa. Uderzenie było tak silne, że się wszystkie postronki pourywały i ja z Hryhorem wysadzeni zostaliśmy z siedzeń i w tył rzuceni. Konie także popadały. Ani mnie jednakże, ani Hryhorowi, ani koniom nie stało się nic złego. Potłukliśmy się trochę. Dyszel się złamał. Postronki się porwały. Prędko, kulejąc i postępując, rozpoznaliśmy stan szkód, sprawionych wypadkiem, do krórych, niestety! zaliczyć musiałem kartkę Handzi.

Wypadła mi z garści.

Czytelnicy, a może czytelniczki, którym ten pamiętnik do rąk się dostanie, z łatwością zrozumieją moją rozpacz.

Straciłem talizman, który był może zakładem mego szczęścia.

Gdy tę zgubę skonstatowałem, natychmiast zawołałem na Hryhora.

— Co tam robisz?...

— Ta że koni ohladaju...

— Na co?...

— Czy sobi nih ne połomały...

— Niech ich tam djabli porwą! — zawołałem gniewnie — niechby sobie połamały!...

— Ta czymże by my jichały?... — zapytał Hryhor.

— Zostaw konie, a pomóż mi szukać...

— Szczoż szukaty?...

Zająknąłem się na to zapytanie, lecz wprędce zdobyłem się na odpowiedź:

— Kwitek...

— Kwitok?!... — rzekł mój furman ze zdziwieniem — Cur jomu ta pek!... Kwitok można napysaty i poderty i napysaty, a jak, borony hospode, kiń nohu złamaw, to, oś, bude nam kwitok...

— Szukaj-no, szukaj, a nie rozprawiaj... — odrzekłem z niecierpliwością.

Hryhor mruczał pod nosem i ślipał po ciemku. W miejscu naszego rozbicia pełno było liści. Dotykałem ziemi, łażąc na czworaku, raz koło razu i liście przebierałem. Los cierpliwość moją na ciężkie wystawił próby. Łaziłem i szukałem przy pomocy Hryhora, który szukając półgłosem dogadywał:

— Łycho z tim kwitkom... Czołowik, znow toj kit, swityt oczamy taj did'ka wyswityt...

Noc upływała, gwiazdy błyszczały a my szukaliśmy, przysłuchując się różnym głosom, które się w powietrzu nosiły, oznaczając budzenie się do życia wiosennej przyrody. To jakiś świst skrzydeł śmignął górą, to jakiś szmer rozległ się dołem; z tej strony echo przyniosło porykanie bydlęcia, z tamtej dalekie naszczekiwanie psa; gdzieś, bardzo daleko, słowik ciągnął samotną piosnkę, a bliżej odzywały się koniki polne i biła przepiórka; konie moje, stojąc przy pniu na naszelnikach, prychały od czasu do czasu i niecierpliwie kopytami o ziemię uderzały.

— Sława Bohu!... — odezwał się po chwili Hryhor.

— Znalazłeś?!... — zawołałem uradowany.

— De w did'ka!...

— Czemużeś „sława Bohu“ powiedział?...

— Koni forkajut', ta kopytamy zemlu biut'... znaty, szczo zdorowi...

— Szukaj-no, szukaj...

— Tadżeż szukaju...

Na szukaniu upłynęło mi większa nocy połowa. Postanowiłem szukać do dnia, lecz postanowienie to okazało się zbytecznem, bo drogą zgubę znalazłem.

— Jest! — wydarł mi się z piersi radośny okrzyk, gdy w palcach poczułem kartkę.

— Tfu!... — splunął Hryhor — kołyb szczo ludśkoho, a to?... kwitok...

— Jedźmy...

— Ta czim?...

— Zaprzęgaj...

— Ta do czoho?...

— Cóż, durniu jakiś, odpowiadasz!... — zagrzmiałem głosem pana, pełnym rozkazu i dumy — słuchaj i rób co ci każę...

— Każit-że dyszlowy, szczoby sia złahodyw, postoronkam szczoby sia zwiazały...

Ta prosta uwaga dała mi poznać, iż mój rozkaz był nie na swojem miejscu, lecz ambicja nie pozwalała się do tego przyznać. Zaprzężenie do bryczki ze złamanym dyszlem, było absolutnem niepodobieństwem. Hryhor miał rację. Ale i ja chciałem mieć także rację. Jeżeli nie można było zaprzęgać, to można było jechać. Kazałem więc odczepić jednego konia, zdjąć z niego chomąt, wsiadłem oklep i pojechałem z kartką w garści. Potłuczony i zbolały, nie mógłem prędko jechać. Miałem zamiar zajechać do Deszewej, ażeby mi kagankiem poświecono, lecz zanim dojechałem, jutrzenka zarumieniła się na wschodzie, zaświtało i przy blasku rodzącego się dnia, na bibulastej ćwiartce, wykrojonej z jednego z arkuszy, na których stary Dubyna utrzymywał rejestra gospodarskie, następujące wyselabizowałem wyrazy:

— „Proszę pana o wielką łaskę, We środę o północy, gdy koguty pierwszy raz zapieją, bądź pan pod starym dębem. I ja tam przybędę. Na miłość Pana Boga zaklinam pana, nikomu o tem nie wspominać. Najniższa sługa wielmożnego pana dobrodzieja, Anna D.“

Zapomniałem o stłuczeniu i bolach. Nie posiadałem się z radości. Wezwanie to przechodziło wszelkie moje oczekiwanie, pomimo, że gdybym się był wówczas zastanowił, to to naznaczenie nocnej schadzki, miało w sobie coś dziwnego i nienaturalngo. Sam na sam dla mnie i dla Handzi nie było owocem zabronionym. Spędziliśmy tyle chwil razem w lesie, zostawieni samym sobie; tyle razy dawałem jej poznać gorące pragnienie zrobienia jej wyznania miłości, tyle razy pragnienie to omroziła ona śmiechem, lub zgasiła skierowaniem rozmowy na przedmiot o tysiąc mil od miłości odległy. Czemuż teraz sama naznacza *rendez vous*? Zapytanie to, gdyby podówczas przyszło mi było na myśl, byłbym sobie żądanie Handzi wytłómaczył dziwactwem — chorobą zwykłą w córach Ewy.

— Zachciało się jej nocnej schadzki... Musiała coś o tem zasłyszeć... Może w jakiej piosnce lub kazce, których się od wieśniaczek uczyła, jest o schadzkach mowa...

Oto jaką byłaby odpowiedź, gdybym był sobie zadał pytanie! Upojenie radości napełniało mnie, jak szampańskie wino butelkę, z której korka gaz nie wysadza dla tego tylko, że jest przymocowany drutami. Drutami dla mnie była moja jazda oklep, której się wstydziłem. Lękałem się spotkania ze znajomemi, przed którémi musiałbym się tłómaczyć. Przez miasteczko przeto i wsie znajome, przemykałem jak złodziej, oglądając się, ażali mnie kto nie zoczył. Przez T. przejechałem do dnia, zwróciwszy na siebie uwagę kilku żydów. K. objechałem. Jadąc, co moment powtarzałem sobie głośno:

— Przecie... a?... przecie... Doczekałem się...

Przyjechawszy do domu, nie wjechałem wprost na podwórze. Zawróciłem na folwark i tam zostawiłem konia, a do domu udałem się piechotą. Przy powitaniu matki, nie umiałem zamaskować radości,

która ją w zdumienie wprawiła. Zapytała mnie o powód. Pocałowałem ją w rękę i takiego nagle wzruszenia doznałem, żem się rozpłakał.

— *Fi donc!*... — zawołała moja rodzicielka. — Domyślam się jakiejś sentymentalnej historji...

— Moja mamo — odrzekłem — wkrótce będę mieć coś bardzo wesołego mamie do powiedzenia...

— Mów natychmiast... Wesele nie posiada własności séra, nie daje się odkładać...

— Natychmiast, nie powiem, ale wkrótce... za dni parę... Będziemy się trochę sprzeczali, lecz mama kocha swego jedynaka..

— Rzucasz zagadki, jak sfinks... Poczekam na wyjaśnienie, a tymczasem powiedz mi, zkąd przynosisz sińce pod oczami i guzy na czole?...

Opowiedziałem historję rozbicia na gładkiej drodze.

Bilecik od Handzi otrzymałem w poniedziałek. Środa więc przychodziła prędko. Miałem tylko tyle czasu, żem w domu przenocował i wypoczął i nazajutrz znów podążyłem do Jarów z Hryhorem, który sam jeden pomiędzy domownikami przypuszczonym był do tajemnicy moich wycieczek.

Tym razem na umówione spotkanie wybrałem się po amatorsku, trochę z rycerska. Do T. pojechałem bryczką, za którą w pełnem osiodłaniu szedł koń wierzchowy, dzielny siwy arabskiej rasy ogierek, większej bez porównania wartości aniżeli ów gniady na jarmarku niegdyś widziany. Przyjechałem nad wieczorem i zatrzymałem się w zajezdnym domie, gdzie zostawiwszy Hryhora z bryczką i końmi pocztowemi, sam, na półtory godziny przed chwilą, w której koguty pjać zaczynają, dosiadłem wierzchowca i ruszyłem.

Noc była cudna choc ciemna, ale za to w całej pelni wiosenna. Gwiazdki, te gwiazdki, na które przedwczora tak się gniewałem, mrugały; rozkwitnione drzewa napełniały powietrze balsamiczną wonią; słowiki śpiewały; komary brzęczały; żaby skrzeczały; dusza kąpała się w atmosferze brzmiącej harmonją wielkiego choralnego hymnu przyrody, wtórującego memu sercu. I w przyrodzie i w mojem sercu była i biła miłość. Siwek mój, jakby mnie rozumiał, niósł rześko i lekko, zaledwie ziemię kopytem potrącając. Było mi roskosznie. Czułem na sobie niby skrzydła. Dopadłszy lasu, pochyliłem się ku grzywie, i, jak ów nocny jeździec, o którym ludowe rozpowiadają podania, mknąłem znajomemi ścieżkami wprost pod stary dąb. (D. n.)

Słowacy.

Po drugiej stronie karpat, w północnej okolicy Węgier, zamieszkał lud słowiański, zwany Słowakami, mową i obyczajami najbardziej do polskiego podobny.

Wpływ czeskiej literatury i oświaty przeważa w tym kraju; wielu nawet uczonych mężów czeskich, jak Kolar, Szafarzyk, Czelakowski i inni, pochodzą z rodu Słowaków węgierskich.

Ludność słowacka wynosi około 2,000,000, a miastem ich stołecznem jest Presburg, po słowiańsku Brzetysław. Droższem jednak dla Słowaków pod względem narodowych wspomnień jest starożytne miasto Nitra, odwieczna ich kolebka z czasów Świętopełkowej potęgi. W około Nitry krążą liczne podania Słowaków, a nazwa tego miasta często nawet wspominana bywa w ludowych pieśniach, oto mały urywek:

Nitro! miła Nitro, ty Nitro wysoka,
Gdy spojrzę na ciebie, łza płynie mi z oka,
Ty matko słowiańska, oj Nitro ty miła,
Odkąd tyś kwitła, minęło lat siła,
Oj byłaś ty grodem, w ziemi pełnej sławy,
Około Dunaju, Wisły i Morawy.



Słowacy w ogóle, to lud pracowity i przemyślny, wielu z nich zajmuje się górnictwem po kopalniach, wielu znowu nie mogąc się wyżywić w jałowych górach, udają się na zarobek w doliny, w najem do żniw i sianożęcia. Szlachta słowacka uległa w znacznej części wpływowi zwycięzkiego plemienia, przyjęła od niego obyczaje, a ubiór madziarski zwykła przywdziewać w czasie uroczystych obrzędów. Ubiór ludu zmienia się wedle miejsca. Zwykle jednak noszą kaftan biały z grubego sukna, spodnie niebieskie lub białe wyszywane z węgierska i wysokie buty stanowią ich odzież; w lecie koszula zastępuje kaftan.

W ogóle ubiór Słowaków uboższy jest od madziarskiego, powierzchowność ich bardziej zaniedbana, mieszkanie mniej dostatne; pochodzi to w części z wrodzonego lenistwa. — Kobiety okrywają głowę płóciennym rańtuchem, wiążąc go w rozmaity sposób, stosownie do miejscowej mody. Przy pracy noszą czapeczkę, która zasłania im głowę od słońca. — Dziewczęta chodzą z gołą głową, okręconą w koło zaplecionym warkoczem, noszą gorsecik spięty świecącemi guzikami, spodniczkę wełnianą szafirową lub zieloną, fartuszek jasny, pas wełniany szeroki, przywiązany lekko, z końcami spadającemi z boku, nogi obuwają w ciżemki na obcasach. W niektórych miejscach noszą na głowie czółko, przybrane różnobarwnemi wstęgami, podobne do czółka naszych Krakowianek.

Lud słowacki pozostał wierny starodawnym obyczajom ojców i święcie ich strzeże w domowych zagrodach. Świadczą o tem liczne pieśni obrzędowe, które lud śpiewa dotąd przy każdej zdarzonej sposobności.

Przeglądając zbiory pieśni ludu, obejmujące zwrotki zastósowane do możliwych w życiu wypadków, począwszy od chrzcin, wesela, aż do grobowej deski, zdaje nam się, życie słowackiej niewiasty ciągłą pieśnią — to niewinną jak świegotanie ptasząt, to rzewną i tęskną — gdy serce dziewczyny silniejszem uderzy uczuciem, to dziwnie żałośną, gdy śmierć ukochanych rozedrze serce kochanki lub matki. — Pieśń ta płynie bezustannie, jakby fale Dunaju, to cicha, to jasna, to zmącona wichrem i burzą, lecz płynąć nie przestaje, aż dopłynie kresu.

Wszystkie te śpiewy noszą cechę tęsknoty, zarówno jak wszystkie ludy, pozbawione politycznego bytu, wszędzie tchnie żal i nieufność o lepszą dolę. Oto mały ustęp:

Smutno słowik spiewa w klatce ułowiony,
Kiedy sobie wspomni na gaik zielony,
I moja piosenka także nie wesoła,
Kiedy dawne chwile smutna myśl wywoła.

Smutniej jeszcze narzeka lud na to brzemię, które go z każdej uciska strony, niekiedy nawet przebija się gorzka ironia, wytworzona

skutkiem bolesnych okoliczności i tak: Hej bracia Ruśniacy, śpiewajmy przy pracy, bo prócz tego co śpiewamy, nic więcej nie mamy —

Przyjdzie wojak przyjdzie pan,
Oddać musisz cały kram,
Każdy krzyczy daj! daj! daj!
A ty krzyczysz aj! aj! aj!

Wypadki dziejowe upamiętniły się w pieśni Słowaków: lud ten nie zapomniał Jana Sobieskiego, który z hufcem pospieszył na odsiecz Wiedniowi. Oto dosłowny przekład pieśni o królu Janie:

Poczekajmy chłopcy,
Niech przyjdzie Sobieski,
Przez tę górę szląską,
Z poza Babiej góry,
Na bułanym koniu,
Ze złotą uzdeczką,
Na pomoc huzarom
Wiednia — cesarzowi,
Ten będzie wojował,
Naprzeciw Turkowi.

Niektóre pieśni słowackie są zupełnie podobne do pieśni ludu naszego, nie tylko treścią, ale i melodją, cała odmiana polega w różnicy narzecza.

Rusini czyli Ruśniacy osiedleni u podnóża wschodnich Karpat, liczą około 200.000 ludności. Przybyli oni do Węgier w XIV. wieku z księciem Teodorem Korjatowiczem, uciekając przed pogonią Tatarów. — Za czasów Marji Teresy przyjęli unię i połączyli się z kościołem katolickim. Pieśni ich i tańce są prawie te same, co i naszych galicyjskich górali, zwanych Huculami.



Słowianie południowi.

Serbowie, Chorwaci i Dalmaci stanowią szczep południowych Słowian. Naród serbski zmienne przechodził koleje; osiadły w pobliżu Carogrodu, w XI. wieku utracił byt polityczny i przeszedł pod panowanie wschodniego państwa. Po strasznej klęsce na Kosowem polu, gdzie rozstrzygnęły się losy Serbii, car ich Lazar ujęty na polu bitwy, stał się ofiarą krwawej zemsty sultana Bajazeta; ścięto mu głowę i obnoszono ją w tryumfie po obozie tureckim. Szlachta zaś i duchowieństwo musieli uchodzić z kraju, zabrawszy z sobą bogactwa, księgi i tradycję narodową. Pozostał tylko lud, odcięty od przeszłości. — Dopiero, kiedy zwycięzki oręż Jana Sobieskiego złamał na zawsze potęgę ottomańską i oswobodził Chrześciaństwo, utorował południowym Słowianom drogę do przyszłego wyzwolenia. — Roku 1790 znaczna część Serbów w liczbie około 36.000 przenieśli się z prawego brzegu Dunaju do Węgier i osiedli w kraju, Banatem przezwanym. Jak tamtych Belgrad, tak tych Serbów, Temeszwar jest stolicą.

Serbowie zarówno jak wszyscy Słowianie, nadzwyczaj są gościnni i z największą radością przyjmują w progi swoje wędrowca. Zastawiają dla niego ucztę, a gdy gość udaje się na spoczynek, gospodyni domu obmywa mu nogi. — Lud, który wciąż ma na ustach imię Boże, wiernie w ciągu roku zachowuje symboliczne obrzędy swej wiary, łącząc je z kościelnemi uroczystościami.

Wśród poetycznych plemion słowiańskich, najpoetyczniejszym jest lud serbski. Literatura jego pisemna jest wprawdzie uboga i nie wykształcona wedle prawideł sztuki, ale poezja żyje w piersi całego ludu i wytryska z niej strumieniem narodowej pieśni.

Pieśń ta utrzymuje ów bratni węzeł, stargany długą wieków i wypadków koleją. Zarówno jak w Serbji tak i między Czarnogórcami, tudzież w sturczonej Bośnii i Bułgarji, wszędzie pieśń odwieczna, płynąca przez usta śpiewaków, wtajemnicza lud w ubiegłe czasy, gwarzy mu odwieczne dzieje, utrzymuje w piersi tę bogatą nić tradycji i staje się bujnym w przyszłość posiewem. Treść owych pieśni bywa rozmaita; legendy, osnute na podaniach religijnych, pieśni bohaterskie, opiewające wypadki dziejowe, przygody rycerzy czyli romanse. Uczoną Europę obznajomił z duchem poezji Serbów Adam Mićkiewicz, w prelekcjach o literaturze słowiańskiej. — August Bielowski i Bogdan Zaleski przełożyli na polskie najpiękniejsze rapsody z bohaterskiego okresu poezji serbskiej. (D. n.)

O potrzebie i zadaniu krytyki teatralnej.

(Dokończenie).

Krytyk rozbierając uważnie tak sztukę jak i grę, może stać się prawdziwie użytecznym, wtedy nabędzie on może prawa do ganienia lub chwalenia, jeżeli udowodni, że umie sądzić i oceniać. Wtedy artysta będzie dbał o krytykę i będzie ją czytał z uwagą, bo będzie się spodziewał znaleść w niej coś nauczającego i pożytecznego. Dobry będzie się starał być lepszym, a zły poprawi się. Tym sposobem traktowana krytyka przyczyni się do podniesienia sceny i stanie się tem, czem być powinna; to jest: źródłem nauki tak dla autorów jak i dla artystów. Albowiem autor ujrzy jasno swoje błędy lub zalety i przyłoży wszelkich starań, aby z jednych poprawić się a drugie wzmocnić, co dopomoże do szybkiego rozwoju sztuki dramatycznej; artysta zaś poznawszy, że jego gra jest umiejętnie ocenioną, stanie się pilnym, starannym i nie będzie śmiał sarkać na krytykę albo lekceważyć ją, bo przekona się, że ona nie jest wybrykiem przyjaźni lub niechęci, zarozumiałości, kaprysu lub złego humoru.

Z tego co poprzedza wypływa, że krytyka jest jednem z najtrudniejszych zadań w piśmiennictwie, i tak jest w samej rzeczy; nie każdy co zdał maturę jest obdarzony rozumem krytycznym. Przejęcie się tą prawdą i zastósowanie się do niej może dopiero postawić krytykę na tem stanowisku, na jakiem stanąć powinna, jeżeli nie ma być tylko farbą czerniącą papier. Krytyka ma jeszcze jedno zadanie, nie mniejsze od poprzedniego; mianowicie powinna ona zaszczepiać w publiczności zamiłowanie dla sztuki, powinna wzniecić w jej łonie ten święty ogień, który orzeźwia i ogrzewa wszystko to, co obejmuje. Lecz żeby publiczność poczuła w sobie tę siłę, potrzeba, aby przedewszystkiem miała smak wykształcony. A cóż jeżeli nie krytyka jest w stanie ten smak wykształcić? Chcąc dójść jednakże do tego celu, krytyk powinien pamiętać, że jego obowiązkiem jest rozszerzać o ile możności oświatę, że pisze dla ogółu a nie dla wyjątków. Otóż prawdziwy krytyk powinien wiedzieć, że ogół myśleć nie umie, albo nie lubi, ale że czepia się najczęściej, jak pijany płotu, myśli obcej, i idzie ślepo za zdaniem pana recenzenta, który niestety nie będąc papieżem, nie ma o ile wiemy przynajmniej, przywileju

nieomylności. Sumienna krytyka zatem znając słabość ludzką, a swoją niedoskonałość powinna wystrzegać się wprowadzenia publiczności w obłęd, mogący zaszkodzić rozwojowi sceny.

Krytyka więc, aby wspierać scenę i krzewić oświatę, co jest jej zadaniem, powinna być, że tak rzeknę odpowiedzialną, to jest: ludzie powinni mieć możność kontrolowania jej. Do tego dochodzi się nie lekceważeniem czytelników, narzucając im absolutnie swoje zdanie, ale owszem tłomacząc się z tych zdań przed nimi, zmuszając ich do myślenia, a to uskutecznić można tylko wtedy, gdy samemu głośno się myśli.

W ten sposób obrabiana krytyka osiągnie cel trojaki: 1) rozwinie w publiczności miłość do sztuki; 2) wykształci jej smak; 3) nauczy publiczność myśleć i rozważać. Wtedy tylko krytyka przyczyni się do wzrostu sceny i zniszczy dawny zabytek, niegodny już oświeconego narodu, to jest: serwilizm. Z rozkrzewiającą się coraz bardziej oświatą ustępować będzie coraz bardziej to ślepe posłuszeństwo dla jakiejś niczem nieuzasadnionej powagi, ta smutna konieczność niedostatecznego wykształcenia.

Oto jest święte, wielkie zadanie krytyki teatralnej; niech ona odpowie godnie swemu wzniosłemu posłannictwu. Gdy krytyka teatralna wejdzie na ten tor jej przynależny, natenczas możemy spodziewać się, że scena nasza odpowie w zupełności wymaganiom naszym, i że sztuka dramatyczna, wyzwolona z więzów zawiści, stronniczości i nierozsądku, a oświecona pochodnią oświaty, zakwitnie na naszej ziemi. *Witołd B.*

PRZEGLĄD LITERACKI.

Historja literatury polskiej, ofiarowana młodym, uczącym się Polkom przez Felicję Wasilewską. Tomu I. zeszyt drugi. We Lwowie, nakładem Karola Wilda 1867.

Przed niewielu tygodniami opuścił prasę drugi zeszyt „Historji literatury," napisany przez znaną zaszczytnie w naszem mieście właścicielkę żeńskiego zakładu wychowawczego, która od kilku już lat zbierała liczną publiczność niewieścią na swe wykłady ustne o literaturze ojczystej i estetyce. Dzieło powyższe jest więc owocem długoletnich studjów na tem polu i nosi też w każdym swym ustępie znamiona staranności i sumienności. Nie tylko młode, uczące się panienki, którym książka jest ofiarowaną, mogą z niej korzystać! Niejeden zaiste ukończony mężczyzna, niejeden dumny z swych akademickich studjów pyszałek, znajdzie tam wiele pięknych i pożytecznych rzeczy, które jako Polak znać powinien, a których u nas jeszcze ciągle ze szkół się nie wynosi, lecz zdobywać trzeba własną, mozolną pracą.

Drugi zeszyt powyższego dzieła, zawiera prawie cały wiek złoty ojczystej literatury. Charakterystykę pojedynczych pisarzy tego wieku, poprzedza rozległy i znakomicie skreślony rzut oka na całą epokę. Ówczesna Rzeczpospolita jest rozważaną nietylko pod względem umysłowego ruchu, lecz również w objawach jej politycznego i społecznego życia, a wszystko to stawione obok równoczesnego ruchu umysłowego całej Europy, z którego to porównania wychodzi bardzo zwycięzko nasza ojczyzna. Treściwość wykładu i wdzięk pióra obok trafnego i głębokiego sądu, cechują cały ten pogląd, a wiele wartości dodaje mu zestawienie naszej literatury z piśmiennictwami obcych narodów, gdyż tylko przez takie porównanie można sobie wyrobić trzeźwe, przedmiotowe wyobrażenie o rzeczy, pozbawione tak dobrze szkodliwej buty i samochwalstwa, jak niemniej głupiej pogardy dla tego, co własne.

Po tym wstępie, który jest uzupełniony rozpatrzeniem szkód ówczesnych w Polsce i akademji, jak krakowska, wileńska, zamojska i szkół dyssydenckich, wreszcie poglądem na ruch drukarni ówczesnych i sprawę języka — przechodzi autorka poszczególnie do najznakomitszych pisarzy złotego wieku, a rozpoczyna poetami. Jest to wieniec, spleciony ze samych wzniosłych duchów, a mistrzów słowa i rymu; staje tu obok siebie Mikołaj Rej, Jan Kochanowski, Mikołaj Sęp, Szarzyński, Sebastjan Klonowicz, Kasper Miaskowski i Szymon Szymonowicz. Na tym ostatnim, mieszczaninie lwowskim, który tak pięknie wyśpiewał Sielanki, kończy się drugi zeszyt dzieła p. Wasilewskiej.

Charakterystyka wszystkich tych pisarzy jest trafna i dobitna, życiorysy ich podane zwięzło, lecz wyczerpująco, zato obszerniej przytaczane ustępy z najcelniejszych ich utworów. Ten wybór kwiatów, ta antologja z naszych poetów złotego wieku jest zaletą dzieła, dziś bowiem nie tylko uczący, lecz cała szeroka publiczność rzadko kiedy spotyka się z ich utworami, niechaj więc ma o nich wyobrażenie choć z obszerniejszych wyjątków, podanych w Historji literatury. Tak często niestety każony przez nas język, może czerpać choćby z tych urywków, jakoby ze zdrowej, ożywiającej krynicy.

Dzieło całe nie obciążone ani pretensjonalnemi cytatami, ani licznemi przypiskami, napisane zrozumiale, potoczysto i jasno, jest w istocie bardzo pożądanym dla podręcznych książek naukowych nabytkiem. Życzyć tylko wypada, ażeby dalsze jego części dostały się jak najprędzej do rąk publiczności. — 3 —

Gospodarstwo i przemysł.

— O lasach. Giną lasy!... taki jest okrzyk przerażenia, który od trzydziestu lat w całej Europie daje się słyszeć. Niestety giną lasy i w naszym nawet kraju, musimy to ze smutkiem powtórzyć, bo kraj nasz jako wyżej na północ od wielu innych położony, ma też większe potrzeby użytkowania drzewa, niż kraje środkowej lub południowej Europy. Nierządem lasy nasze zniszczyliśmy, nie mówimy tu nic o lasach rządowych, w których już dość dawno zaprowadzonem zostało systematyczne gospodarstwo, ale o lasach prywatnych, w których wszędzie (bo wyjątki są tak małe, że nic nie stanowią) dowolność istotnie tatarska panuje. Las, tak jak każda własność ziemska, gdyby dobrze urządzonym został, mógłby swemu posiadaczowi regularnie co rok przynosić stały dochód. Używany zaś bez porządku, a potem od razu do sprzedaży, a raczej zmarnowany, jak to najwięcej bywało, nigdy nie przyniesie tego, coby przy rocznej i cząstkowej sprzedaży był wydał. Po zmarnowanym na raz lesie pozostało pole, które długo przypomina przejeżdżającemu, że tu niedawno stały potężne sosny i dęby, które stosunkowo za tanie pieniądze hurtem sprzedano. Otrzymane pieniądze do Paryża, do wszystkich wód w świecie, na sprawienie palisandrowych mebli, nowego fasonu powozów, wystawienie niekształtnej kamienicy, którą się pałacem nazywa, na zapłacenie nieskończonych długów i t. p. — prędko się rozeszły i niema ich, ale i drugiego lasu do zmarnowania brakuje. Przyszły historyk leśnictwa w Polsce, wypowie niejedną gorzką prawdę, jak to u nas postępowano z lasami — z tem prawdziwem krajowem bogactwem, które setki lat trzeba czekać, aby mogło znowu dójść do tego stopnia, na jakim było, zanim ogarnęła wszystkich nieszczęsna manja, aby je wyniszczyć. A starano się to w najrozmaitszy sposób wykonywać: jedni wypalali je na potaż, który i setnej części nie wynagradzał wartość wypalonego drzewa, drudzy zakładali gorzelnie tylko dla tego, że ich drzewo, jak mówili nic nie kosztuje, a że Pistorjusz nie był znany, więc stare kotły dla wydania przepędzonej wódki, tyle najpiękniejszego drzewa zmarnowały, iż słusznie wówczas mówiono, że w tych starych gorzelniach pędzono wódkę nie z żyta, ale z najkosztowniejszego drzewa; inni wynaleźli jeszcze skuteczniejszy sposób niszczenia lasów, dając go kawałami zagranicznym kolonistom, z warunkiem wykarczowania i płacenia po upływie lat kilku lub kilkunastu, nic nieznaczącego czynszu. Chwalono się z tego nowego przemysłu, jakby z niewiedzieć czego najrozumniejszego, mybyśmy się nawet nie pytali, jaką wam przyniosła korzyść ziemia i rosnące na niej drzewo, gdyby pod temi warunkami oddano je na czynsz własnym włościanom, którzy przed wszystkimi innemi mieli do tego pierwszeństwo.

Odkrycia i wynalazki.

— Sposób konserwowania mięsa, drobiu i t. d. W Londynie odbył się niedawno obiad, na którym wszystko mięso podane jako rozbratle, polędwica lub gotowane, pochodziło ze stepów Pampas z południowej Ameryki i wszyscy uczestnicy tego obiadu, znaleźli go zupełnie dobrym. Sposób, w jaki to mięso zakonserwowane zostało, że taką podróż odbyło bez zepsucia, jest następujący: W szczelnie zamykanej puszce lub naczyniu, w którem ma się konserwować mięso, moczy się takowe przez 10 lub 15 minut w rozczynie dwusiarczanu sody lub potażu, albo też nalewamy ten rozczyn w naczynie z mięsem tak, żeby wszystko powietrze z naczynia wypędzone zostało. Po upływie tego czasu, rozczyn tej soli wypuszczamy, a zastępujemy go kwasem węglowym. To postępowanie powtarza się dwa lub więcej razy, stosownie do potrzeby. Właściwy zaś sposób postępowania jest następujący: Do naczynia zawierającego mięso, wlewa się pewną ilość kwasu siarkowego i odpowiednią tejże ilość węglanu lub dwuwęglanu sody; ciała te dodaje się w ten sposób, żeby dopiero po szczelnem zamknięciu i wstrząśnieniu skrzyni połączył się kwas z węglanem wody; powstający przy tem rozczyn, nasycony kwasem węglowym, obejmuje i przenika mięso. Można także użyć innego sposobu do przyrządzania mięsa w celu zakonserwowania takowego, a mianowicie: wkłada się mięso w naczynie z dwoma korkami, jeden koło dna, a drugi we wieku; dolnym korkiem wciska do naczynia dwusiarczan sody lub potażu, potem zamyka się korek we wieku i wydala rozczyn z naczynia za pomocą pompy powietrznej, przyczem pompuje się tak długo, dopóki z mięsa wychodzi powietrze, skoro to ustanie, napełnia się naczynie na nowo dwusiarczanem sody, ktory po dłuższym lub krótszym czasie zastępuje się znowu kwasem węglowym. To postępowanie powtarza się kilka razy. Jeżeli naczynia użyte do preparowania i przechowywania mięsa są z blachy, to w celu zapobieżenia stykania się mięsa z blachą, wykłada się skrzynię jakim niemetalicznem ciałem, n. p. matami, cienką plecionką, cienkiemi płytami drzewa, płótnem lub czem podobnem.

— **Włókno drzewne** coraz więcej zastępuje gałgany w papierniach, w wielu miejscach zajmują się produkcją tegoż włókna, za pomocą machin poruszanych siłą wody lub pary. Włókno to otrzymują z prostych desek, kłód lub odpadków drzewnych, z tego materjału wyrabiają nie tylko papier, ale pudełka, szkatułki a nawet i sprzęty, które daleko lepiej przyjmują politurę, niżli ze zwykłego drzewa. Maszyna do rznięcia włókna drzewnego, a wyrabiająca do 8 centnarów dziennie, kosztuje około 1.500 rubli srebrem. Włókno drzewne otrzymywane zwykłym sposobem, kosztuje 4 rubli za centnar, tymczasem dobywane machiną, kosztuje tylko rubla centnar; nawet trociny nie przepadają. Sortują ich sitami ze stosownemi oczkami, grubsze trociny mielą i razem z drobnemi zużytkowują w fabrykach papieru i tektury.

— **Pasza dla bydła samoparzona.** Do pomysłów gospodarskich, które nie pozyskały dotąd rozpowszechnienia i uznania ogólnego, należy zaparzanie sieczki. Jest to jeden z najpożyteczniejszych sposobów karmienia bydła, zwłaszcza w niedostatku paszy, przeto nie od rzeczy będzie przedmiot ten za innemi pismami rolniczemi powtórzyć. — Przy urządzeniu tej paszy, wszystko zależy na utrzymaniu przystępu powietrza i na jednostajności i zupełności zawilżania sieczki. Te są warunki kardynalne, przeciw którym nie można wykraczać, inaczej nastąpiłoby skwaszenie i zepsucie paszy. Skrzynie do tej roboty powinny być zawsze z przodu otwarte. — Udeptanie konieczne do jednostajnego zagrzania, wykonane być powinno wszędzie równo, aby nie było miejsc nie ubitych, w których powstałaby pleśń, lecz zarazem z pewną miarą, aby zbyt mocnym uciśnieniem masy nie zmniejszyć do tyla jej parowatości, iżby to zbyt utrudniało przystęp powietrza. Z tegoż samego powodu nie należy do sieczki przymięszywać za wiele rozdrobnionych bardzo, mianowicie mącznych substancyj, jak kartofli lub buraków. Celem jak najjednostajniejszego zwilżenia, należy zlać masę tylko połową potrzebnej wody i jak najtroskliwiej z nią przerobić, a resztę dopiero stopniowo dodawać za pomocą koneweczki ze sitkiem. Ilość sieczki, która na raz zaparzoną być powinna, wynosi 15 korcy, przy większej potrzebie można ją powiększyć i liczbę skrzyń podwoić. W średniej ciepłocie, a ta jest najpewniejsza, jeżeli skrzynie będą umieszczone w samej oborze — przypada koniec procesu (samopaszenia) na dzień trzeci, wystarczą więc trzy lub cztery skrzynie, które dostarczą karmy dla kilkunastu sztuk inwentarza.

— **Zabezpieczenie drzew owocowych od ogryzania przez zające.** Podczas zimy śnieżnej i mroźnej, zające zwykle zrządzają wielkie szkody w ogrodach, a to przez ogryzanie kory. Używano ku temu różnych sposobów; najskuteczniejszym okazało się osmarowanie drzewek z lekka dziegciem i tak wysoko, jak zając dosięgnąć może.

— **Małe maszyny gazowe** tego roku premiowane na wystawie paryzkiej, już w Paryżu wielu rzemieślników i przemysłowców używa do swej roboty. Dotychczasowe konstrukcje tej maszyny (Lenoire i Hugo) miały ten błąd, że cylinder się ogromnie rozgrzewał i chłodzić go trzeba było, a w skutek nieregularnych eksplozyj i stempel koło poruszający, nierówno chodził. Najnowsza konstrukcja (L a n g a w K o l o n j i) zaleca się tem, że bardzo mało gazu zużytkowuje, chłodzić się wcale nie potrzebuje, a stempel bardzo regularnie chodzi. Koszta opału tej maszyny przy $1/4$ siły końskiej, obliczono na 8 srg. dziennie, wpraktyce się przekonano, że częstokroć $3 1/2$ tego nie przenoszą. Szczególnie praktyczną się okazała machina ta w drukarniach.

Pogadanki tygodniowe.

Mam tedy temat do pogadanek, temat przestrony jak czamara ze starszego brata, przykładny jak moraliści wiedeńscy, a niewyczerpany jak cierpliwość delegacji naszej. Poświęcałem się bowiem dla was kochani czytelnicy i wyjechałem na wieś, później byłem na chrzcinach w stolicy, widziałem P i ę k n ą G a l a t e ę, inaczej *Schöne Galatea*... więc się podzielę bogatym zbiorem mych wiadomości i poszlę je w świat szeroki, by się odbiły uczuciem zadowolenia na waszych licach.

Wyjechałem tedy na wieś, nie dla przyjemności, to jest nie dla powietrza zdrowego i mleka świeżego wprost od krowy, gdyż jak łatwo pojmiecie, lwowskiemu szlifibrukowi wyziewy kotliny pełtewskiej płuc nie popsują, a świeże mleko zastąpi odwarem z krochmalu, którego tak sprytnie fabrykuje lud okoliczny, wyjechałem przeto z potrzeby z tak zwanego interesu, który to dał ongi niezabwiennemu panu Schmerlingowi podstawę do podzielenia nas na grupy małe, mniejsze i najmniejsze. Otóż ten interes, ta podstawa konstytucjonalizmu, wypchała mnie na sioło het za Dniestrem leżące. Jadę więc i jadę, oczywiście tak długo, dopóki nie zajechałem do miasteczka, najbliższego celu mej podróży. Była to mieścina ot, zwykle jak na Podolu, brudna pełna karczem, w których się nie posilisz, z siedzibą władzy autonomicznej, która dopełnia wyroku na skazanych, pod gołem niebem w pierwiastkowy sposób arcypraktycznie. W tej to mieścinie nająłem konięta, które zawieźć mnie miały do państwa Xów, domu zacnego szczepu, z którego po kądzieli wyłonił się jeden dygnitarz parlamentarny i siedział lat sześć w sali redutowej bez maski, na krześle poselskiem, milcząc uporczywie, a to jak mówiła połowica jego, na złość wszystkim stronnictwom.

Na mój wóz wydrapała się klucznica tego państwa, bawiąca właśnie podówczas w mieście dla zakupienia drożdży, a nie mogąca powrócić, gdyż dworski furman spił się u Moszka jak się zowie, jechałem, czyli raczej wlokłem się w jej towarzystwie i drzemałem... dla przyzwoitości. Aż tu nagle wóz poczyna się chylić na lewo i zanim zdołał się wydobyć okrzyk przerażenia z piersi otyłej sąsiadki — hrym... leżymy na ziemi, ja u spodu, a ona w górze. Poczułem ciężar niewieści, uczułem ból w nodze, kiks w gardle, a wydrapawszy się z pod tych różnorodnych ciał do mnie nie należących, począłem ruszać wszystkimi członkami, by mieć dowód, że kości całe, a ponieważ wywrót z wyjątkiem stłuczenia o żadną inną stratę nas nie przyprawił, więc w gołębiej pokorze wsiedliśmy na wóz i jedziemy dalej. Po drodze wypytuję parobka co to za droga? — jasno nie określił mi jej, lecz z rozumowania jego, z rowów i szutru nasypanego, przyszedłem do przekonania, że to droga krajowa. Pomyślałem sobie zatem — więc tobie ty wielki portierze z ogromną buławą, który strzeżesz żywe i martwe skarby wydziału galicyjskiego, tobie więc siniaki me mam zawdzięczać? Czekaj no, zemszczę się na tobie. Zaledwie w duchu wymówiłem te słowa, stanęliśmy przed dworem, gramolę się z wozu, aż tu zgraja psów mnie opada, ujadając co siła; poczynam nawoływać, gwizdać i zaledwie się ta czereda uspokoiła, uczułem ukąszenie, które wywołało boleśnie: aj!.. to jamnik, skradłszy się cichaczem, przywitał mą nogę po lwowsku w ciżemki odzianą, kopnąłem go, lecz to nie pomogło, bo noga bolała i dziś jeszcze boli.

Wchodzę do tak zwanego salonu — pana niema, wyjechał na wybory, pani nie ubrana, lecz za to dziatwa kochana, rumiana, pyzata, zajada na podwieczorek chleb z masłem i mnie, ubranego przyzwoicie w strój czarny, smaruje masłem pozostałem na rączętach. Gniewać się nie wypada — kląłem więc w duchu, lecz nie dokończyłem, gdyż pani domu nadeszła; żywą rozpoczęła pogadankę, zadawszy mi liczonych dziewięćdziesiąt i ośm pytań o Lwowie; co za trudność na nie odpowiadać, mnie, któremu nie starczy tematu do pogadanki raz na tydzień! Odbyłem nareszcie i tę łaźnię, nakryto do stołu, a głodny z podróży, jadłem jak w gorączce; w tem podają na stół świeżą wieprzowinkę z kapustą, gosposia prosi uprzejmie, ani rusz się wymówić, musiałem zatem jeść dalej. Nareszcie wyprosiłem się przecie i poszedłem do zwykłego zajęcia wiejskiego, to jest poszedłem spać. Wstaję rano: głowa boli; podnieść się trudno; nuż zażywać leki z domowej apteczki. — Wypiłem kwartę rumianku, szklankę centurji, a drugą senesowego liścia, wstałem dopiero około południa, a przywitawszy pana domu, który z wyborów przyjechał z kwaśną miną, gdyż nie został obrany nie tylko na marszałka, ale nawet na dygnitarza rady, przystąpiłem do załatwienia interesu jasnego, prostego — lecz cóż? — pan szlachcic wziął delatę po staropolsku, gdyż widział iż się niecierpliwię.

Tak więc potłuczony, ukąszony, przejedzony, nie załatwiwszy interesu, wróciłem do stolicy, powtarzając sentencję moralną: Nie masz dobra na wsi, bogdaj to się święciła nasza stolica.

W domu zastaję bilet zapraszający na chrzciny, myślę sobie: odwetuję me niepowodzenia i przecież raz się dobrze zabawię. Rzucam się tedy w suknie świąteczne, siadam w dorożkę i jadę na żółkiewskie. Nowonarodzony, który miał wejść w skład dusz parafii Sgo Marcina, był synem zamożnych od niedawna rodziców, o których ludzie cichaczem mawiali, że z nich wielcy patrjoci. Staję przed kamienicą o jednem piętrze, a przedemną wchodzą jacyś ichmościowie — jeden wdrugiego z cylindrem na głowie, szwargocą po niemiecku — więc myślę sobie, że to zapewne urzędnicy kolei żelaznej, na którą krajowcy subskrybowali akcje. — Lecz cóż za dziwo, oni wchodzą w te same drzwi, do tego samego patrjoty, gdzie i ja byłem proszony. — Źle mospanie — mruknąłem — złe towarzystwo; nie tracąc jednak miny, witam się zjego- i jej-mością, z ichmościanką, pytam o obywatela młodego, który ludność stołeczną powiększył o jedną jednostkę i ze smutkiem dowiaduję się, że obrzęd kościelny już na nim spełniono i że go Śty Otto przyjął do swojej klienteli. Jak szczupak otworzyłem na to z zadziwienia oczy — niespodziewałem się bowiem, że polskim dzieciom trza koniecznie do szczęścia doczesnego patronów niemieckich — cóż jednak było robić? przełknąłem i tę pigułkę morisońską, w nadziei lepszych sukcesów w gronie towarzyskim. Snać jednak, że czarna gwiazda zawisła od dłuższego czasu nademną, gdyż całe towarzystwo, jakby się uwzięło na mnie i rozprawiało galicyjsko-biurowym narzeczem. Nie czekając więc kolacji, wsunąłem guldena w garść famulusowi, by mi wydał moje futro i wyniosłem się bez pożegnania — po angielsku.

A ponieważ to się stało przed 7mą wieczorem, więc zrozpaczony idę do teatru; grano tam właśnie „Piękna Galateę." A czy wiecie piękne czytelniczki co to jest "Piękna Galatea?" — Zdawałoby się, że wyraz piękna, powinien być zrozumiały dla każdego człowieka, mającego cokolwiek poczucia i pojęcia o pięknie, a nawet i dla każdego prostaczka, bo czyż jest człowiek na świecie, któryby nie umiał rozróżnić pięknego od odrażającego, pokazuje się jednakże, że są tacy ludzie, a do tego, że siedzibą ich jest Lwów, i dla nich to zapewne prześwietna dyrekcja teatru polskiego podejmując trud przedstawienia P i ę k n e j G a l a t e i — ozdabia afisze swoje zrozumialszym napisem: *„Die schöne Galatea."* — *Die schöne Galatea!* ha, jak to harmonijnie dźwięczy w uszach Polaka, jak uroczym jest dla niego podobny napis, tłumaczący mu rodzime p i ę k n a, których dziś już po polsku zrozumieć nie umie. — Było też tłumnie i gwarno w całej sali, publiczność śmiała się do rozpuku z dowcipów Nowakowskiego, gdy oto kiks fatalny p. Wojnowskiego rozczarował mnie zupełnie.

Scena niedzielna

(Dualizm u Thira).

Kronika tygodniowa.

Poniedziałek.

Klapu, klapu,
lulu, lulu,
Deszcz tnie w uszy,
mokro w pięty,
Woda w gębie
luby królu,
A ty krzyczysz
jak najęty.

Wtorek.

Garibaldi na Kaprerze,
Wolność ludów już
czort bierze,
Czechom piszą
dzisiaj bajki,
Jutro dam im
Mikołajki.

Pałka cara Mikołaja.

Środa.

Trzeci krzyżyk,
próżna praca,
Już niejeden chłopiec gładki
Czmychnął, drapnął i nie wraca,
Pójdźmy Mamo
na roratki.

Panna na wydaniu.

Czwartek.

A na dworze zawierucha,
Ostrym śniegiem
dmie,
A nasz Florek w
Wiedniu dmucha
I do Niemców
lgnie.

Dyplomata z podciemnej gwiazdy.

Piątek.

Adwent bieży a
z gromnicą
Głodnych wilków
stek,
Lecz tych wilków
już iglicą
Nie wypędzi człek.

Nasze jutro.

Sobota.

Goła-tego, Goła-tego
W treatru gramy,
Ny! co na tem
jest dziwnego
Że wam śpiewamy.
W Golicyi o golizne
Naszej jedynej,
O najmilszej tej
ojczyźnie,
W której wodzim rej.

Personal teatralny.



Kati: No panie wojak kup mi wódki.
Madiar: Ebata! Ja od 48 roku ciągle płaciłem za ciebie, zapłać ty teraz za mnie.
Kati: A niechcie nie znam panie wojak, ale cóż robić, pójdź do Thira.
Madiar: *Eljen Tür!* — Dobrze pójdź do Türa! ba! ale jenerał w Peszcie?
Kati: Ha zatraceny twój Tür, ja sem chce do naszego Thira — kam je sznabs a piwo nasze nemeckie.

Najnowsza próbka języka urzędowego galicyjskiego

czyli

Nieomylność protokołów.

(Gdy wprowadzono obwinionego. *Protokoll* etc. etc.) — Sędzia: Pak se menujesz? (jak się nazywasz) — Oj jój welmożny starosta szo toho to neznaju! — Pak ty drabe ne znasz sweho miena? — A ha jak sia zwu, no to tak: Ja je Hryńko Woźny z Horożanki. — *Schauts wie der Kerl sich verstellt*, (do pisarza) *Schreiben Sie* Heinrich Horożański. — Kolik majesz leta? — Sorok, Jaśnie Panie Starosta. — Sluchaj ti lajdak mów jak se należi, bo inak to ti dam. — Ale Jaśnyj Panie ani słowa ne breszu, ciła hromada i sam ksiądz zaświdczyt szo akurat sorok (czterdzieści). — Tak poślidni raz ti ptam kolik leta, bo dwacat pat rozumisz? — A wże i zabyjte to sorok ne inaksze (pisarz podpowiada, że to znaczy 40). — No tak nech bude toten raz, a teť udkeś doma? (zkąd rodem) — A to bida sia mene czypyła ta skażite dobre Jaśnyj Panie Starosta? — Sędzia: Tak ty udkeś doma? Chłop: — Ta ja nie w doma, ta ja tu, i Boh znaje, koły wernu sia koły tak zomnou zaczynajete (*Stütziger Kerl, den muss mann anders nehmen*). Tak poślidny raz udkiś doma? (pisarz zniecierpliwiony pyta: widkiś rodom? — Sędzia: *Aber mischen Sie sich nicht hinein.* — Aha zwidki ja rodom? z Horożanki wełykij. — *No endlich spricht er mehr als man braucht, dass er Horożański heisst, das wissen wir schon, aber gebürtig schreiben Sie nun aus* Wilki. — Sędzia: Ty polski katolik nebo ruski katolik? — Chłop: Otoż to bida mene sia czypyła, a ja szo maju buty, to pewno szo chrestianyn taj wid kołym sia wrodyw to idu do cerkwy. — Sędzia: *mit dem halt ich nicht mehr aus* — poślidni raz polski katolik nebo jak? — Chłop: Gwałtu a to szo, ta ja ni ne polski — *No also endlich ewangelisch.* — Sędzia: Majesz deti, ne o ni? — Aha ditej je szestero. — Sędzia (daje mu w twarz). Nix szestra, szestra to je osibna ricz, mów co ptam dity je? — Wże ne wytrymaju bihme (chłop z uniesieniem), tadże ditej szestero (pisarz podpowiada: *das heisst ja sechs Kinder*). — No nech bude. — Chłop: A to ne bude ino je wże, ale to wsio ninac bo meni umerła żinka, łeżyt w doma, zautra pochoron, szestero ditej łeżyt chorych i hołodnych pane pysar, wy sia zmiłujte wytłumaczte, naj me na Boha nyni pustyt, bo tam zahybel w doma. (Pisarz tłómaczy, a pan Sędzia nabiwszy się po twarzy chłopa, puszcza go do domu, ależ tyle też było jego zadowolenia, bo gdy zapadł wyrok skazujący obwinionego, to szukają dotąd Heinricha Horożańskiego in Wilki, i znajdą go zapewne pod adresem Pszonki.

Wezwanie.

Pomiedzy drukarnią Poremby a Pillera znaleziono list pod adresem: „Jaśnie Wielmożnej Pani Muzy,“ po odbiór którego raczy się adresantka zgłosić do Wydziału krajowego rzeczypospolitej babińskiej.

Ponieważ list ten nie był opieczętowany lakiem poczto-trwałym, przeto nie przekraczając §. X. o tajemnicy listowej ogłasza się drukiem.

Muzo! coś niegdyś Homera budziła,
Kiedy nad rozwlekłemi bajki swemi drzymał,
O Pani nasza wierszoklitom miła,
Którą się grecki wierszopis nadymał,
Przybądź, ach przybądź i daj mi w nos byka,
Bym feuilleton wierszował ale już bez bzika. —

Twój miły *Kuba Z.*
poeta oficiosus narodowiensis.

Najnowsza sentencja

Pozycja-o-pozycja.

Pozycję od opozycji zero tylko dzieli,
Wyrzuć zero — daj pierwszą — drugą djabli wzięli.

X. Y.
Niedoszły szulrath.

SPIS PRZEDMIOTÓW:

J. Osiecki, wydawca. Redaktor odpowiedzialny: Dr. H. Jasieński. Druk Kornela Pillera.